

Opowieść o czwartym Mędrцу.

Znacie zapewne opowieść o trzech Mędrцach Wschodu (zwanym też Trzema Królami), którzy zobaczywszy gwiazdę podążyli za nią do Betlejem, ażeby pokłonić się Dzieciątku Jezus i złożyć swe dary u Jego stóp.

A czy słyszeliście o Czwartym Mędrцу, który też poszedł śladem owej cudownej gwiazdy, lecz nie stanął wraz z braćmi przed obliczem Dzieciątka?

Czy słyszeliście o jego wędrówkach i próbach, o jego niezmordowanych wieloletnich poszukiwaniach, o jego tęsknocie nieutulonej i o zwycięstwie, które przyszło w chwili ostatecznego zwątpienia?

Opowiem Wam jego dzieje, zebrałem je bowiem z urywków snów podsłuchanych w przybytku Serca Ludzkiego.

Było to za czasów panowania możnego cezara Augusta, kiedy Herod władał Jerozolimą. Wówczas to w górach perskich żył pewien mąż, Mag, zwany Artaban. Był on Medem. Jego dom stał w mieście Ekbatana, tuż koło skarbcza królewskiego.

Artaban umówił się ze swoimi braćmi Magami - Kasprem, Melchiorem i Baltazarem - że wyruszą razem do Jeruzalem powitać nowo narodzonego Króla Izraela. Sprzedał więc dom i wszystkie swoje włości, a za otrzymane pieniądze kupił trzy klejnoty: szafir, rubin i perłę, i postanowił je zawieźć w darze Królowi.

Artaban, Mag z miasta Ekbatany, pędził co koń wyskoczy. Przez równinę Nisean, słynną ze stad dzikich koni, przez urodzajne pola Konkabaru, przez góry i doliny. Mijał sady figowe i brzoskwiniowe, pola ryżowe, gaje tamaryszków i topoli...

Ani Ktezyfon (Ctesiphon), stolica partyjskich królów, nie zdołała go zatrzymać, ani rozlane wody Tygrysu i Eufratu nie były dla niego przeszkodą.

Nareszcie, po dziesięciu dniach trudów i udręki, stanął wieczorem pod murami Babilonu. Jego wierzchowiec upadał ze znużenia, a i Artaban czuł, że siły go opuszczają, lecz w mieście nie mógł się zatrzymać, bo do świątyni Siedmiu Sfer było jeszcze dobre trzy godziny drogi: trzeba było zebrać ostatki sił, by zdążyć na oznaczone miejsce przed północą.

Tuż za Babilonem rozciągała się wielka piaszczysta pustynia, na której tu i ówdzie zieleniały maleńkie oazy, niby wyspy na oceanie piasku. Właśnie przejeżdżali przez jedną z tych wysepek, gdy nagle wierzchowiec zwolnił biegu. Im bardziej zagłębiał się w cień rozłożystych palm, tym ostrożniej stąpał i tym większy zdradzał niepokój. Dokoła panowała iście grobowa cisza, ani jeden listek nie zaszeleścił, ani jeden ptak nie poruszył się w gałęziach.

Zwierzę pochyliło głowę ku ziemi i stąpało lekko i ostrożnie. Nagle chrapnął przerażony i przystanął. Tuż przed nim leżała na ziemi jakaś ciemna postać. Artaban zeskoczył z konia i pochylił się nad zagadkową postacią. Był to człowiek, otulony w łachmany, chudy i wynędzniały. Na jego twarzy widniały ślady śmiertelnej febry, która panowała w całej okolicy, a która widocznie i jego dotknęła. Artaban ujął go za rękę, lecz zimna była jak ręka trupa, a kiedy ją puścił, opadła bezwładnie na piersi chorego.

- Trzeba śpieszyć się w drogę - pomyślał Artaban i odwrócił się od leżącego na ziemi człowieka, pozostawiając go losowi, jaki czeka tych wszystkich, którzy padną wśród pustyni. Stada hien i sępów czyhają już na nich, żeby wyprawić sobie pustynne gody, a wiatr pogrzebie białe, czyste kości w piachu i nawet ślad po nich nie zostanie.

Nagle z ust chorego dobył się rozpaczliwy jęk i ręka ostatnim wysiłkiem chwyciła Artabana za płaszcz. Serce zamarło w Artabanie ze strachu, nie tyle przed chorym, lecz na myśl, że może się spóźnić. Przecież nie mógł tu pozostać, żeby ratować tego nieznanego biedaka, którego życie i tak dobiegało końca. Jeśli spóźni się do Borsippy, wówczas towarzysze - wielcy Magowie: Kasper, Melchior i Baltazar - pomyślą, że zrezygnował z wyprawy i sami bez niego pojedą.

Lecz gdyby tu pozostał, gdyby spróbował ratować tego człowieka, kto wie czy jeszcze to by mu się udało? Czy nagroda, jaka go czeka, gdy zobaczy swego Króla, nie jest dla niego ważniejsza niż spełnienie czynu miłosierdzia wobec obcego, nieznanego nędzarza? Czy wolno mu zatrzymać się w tej świętej pielgrzymce po to tylko, żeby konającemu Żydowi podać łyk wody?

- Boże Prawdy, Boże Miłosierdzia, wskaż mi drogę, bom słaby i niewidomy - modlił się Artaban.

I widać Bóg go oświecił, bo nagle pochylił się nad chorym, wziął go ostrożnie na ręce i zaniósł na skraj oazy, gdzie było nieco widniej. Tu zdjął mu ostrożnie turban, rozluźnił zaciśnięty na biodrach pas, przyniósł wodę z pobliskiego strumyka i zwilżył nią skronie i usta chorego. Potem wyciągnął z zanadrza woreczek z lekami i dał choremu parę kropel do wypicia. Godzina mijała za godziną, a Artaban nie ustawał w pracy. Lecz wysiłek jego nie pozostał bez skutku. Po jakimś czasie chory otworzył oczy i spojrzał na Artabana zupełnie przytomnie.

- Ktoś ty - zapytał Maga - co cię skłoniło, żebyś mnie biedaka przywracał do życia? - Ja jestem Artaban, Mag z miasta Ekbatany, jadę do Jeruzalem, ażeby odszukać nowo narodzonego Króla żydowskiego, który ma być Zbawcą świata. Nie mogę tu dłużej pozostać, bo karawana czeka na mnie w Borsippie. Masz tu chleb i wino, to moje jedyne zapasy, a tu są zioła, które ci zdrowie przywrócą. Jak poczujesz się silniejszym, to wstań i idź do Babilonu, tam znajdziesz Żydów, którzy ci pomogą, masz tu także coś co pomoże Ci w twoich trudach i włożył mu do ręki jeden z prezentów jakie miał dla Króla Żydowskiego drogocenny szafir.

Stary Żyd słuchał słów tych z zapartym oddechem, wreszcie podniósł wychudzoną, drżącą rękę i rzekł: - Niech Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba błogosławi wszystkim twoim krokom. Pokój Jego niech będzie z tobą. Ja nędzarz nic ci w zamian dać nie mogę, to tylko ci powiem, że Mesjasz, którego szukasz nie w Jerozolimie się urodzi, lecz w Betlejem, mieście judzkim. Tak przepowiadali nasi prorocy. Idź i niech Pan czuwa nad tobą, boś okazał choremu miłosierdzie.

Za chwilę Artaban był już daleko. Jego wierzchowiec wypoczęty mknął teraz przez piaski pustyni. Już w oddali rysowała się sylwetka góry Nimroda, ze stojącą na jej szczycie Świątynią Siedmiu Sfer. Lecz na próżno Artaban wyteżał swe oczy, bo ani przy świątyni, ani w dole na pustyni nie było śladu karawany. Strone, skaliste zbocza Nimroda mieniły się w promieniach wschodzącego słońca jak koncha muszli perłowej.

Artaban zatrzymał konia u stóp góry, a sam począł się piąć po skalistym zboczu. Serce zamierało mu z trwogi na myśl, że może nie zastać towarzyszy.

W końcu stanął przed frontonem świątyni. Trzej Magowie musieli już dawno to miejsce opuścić, bo cała równina w dole była pusta, aż po najdalsze kręgi horyzontu. Tylko gdzieniegdzie majaczyły wśród piachów sylwetki szakali szukających żeru. Nagle oczy Artabana padły na małą piramidkę, ułożoną z okruchów cegieł tuż na krawędzi tarasu. W jej głębi jaśniał zwój pergaminu. Wydobył go skwapliwie, rozwinął i czytał: "Czekaliśmy do północy. Dłużej pozostać nie możemy. Jedziemy odszukać Króla. Jeśli chcesz, jedź naszym śladem".

Artaban usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach. - Co pocznę? - rozmyślał - Jakże mogę udać się w tak daleką drogę bez wody, bez jedzenia... A i koń mój zdrożony nie pójdzie już dalej. Chyba wrócę do Babilonu, sprzedam rubin, a za to kupię karawanę wielbłądów i zapas żywności na drogę. O, żeby choć dogonił moich braci! A może nie znajdę mego Króla, może oczy moje nigdy Go nie zobaczą, dlatego, że spóźniłem się, bo okazałem miłosierdzie biednemu człowiekowi?

Po niesłychanych wysiłkach i trudach dotarł nareszcie do Betlejem. Lecz jego braci już tam nie było. Oni spełnili swoje zadanie, odszukali boską Dziecinę, a u Jego stóp złożyli swe dary - złoto, kadzidło i mirrę. Czwarty Mędrzec wiozł także dary bezcennej wartości - rubin czerwony, jak brzask skwarne go dnia, i perłę opalową, jak szczyt ośnieżonej góry, na której mienia się jeszcze ostatnie blaski zachodu.

- To nic, że się spóźniłem i że swój dar będę musiał sam składać u stóp mego

Pana - rozmyślał Artaban. - Jestem w Betlejem i za chwilę ujrzę Światłość wschodzącą nad światem. Oby Go tylko ujrzeć jak najprędzej!

Wjechał w główną ulicę Betlejem, lecz miasteczko wyglądało jakby wymarłe, nigdzie nawet śladu człowieka. - Pewnie wszyscy wyszli w góry po trzode - rozumował Artaban.

Wtem z jednego domku doleciał go dźwięczny śpiew kolędy. Czym prędzej zwrócił tam swe kroki i wszedł do wnętrza. W małej lecz schludnej izdebce ujrzał młodą kobietę, która właśnie usypiała dziecko na rękach. Zagadnięta przez Artabana, zaczęła mu opowiadać, że przed trzema dniami jacyś nieznani dostojnicy przybyli do Betlejem z dalekiego Wschodu. Mówili, że Gwiazda ich zawiodła do domu, gdzie właśnie przebywał Józef z Nazaretu z małżonką swoją Maryją i tam znaleźli Dziecię, które szukali i któremu złożyli bogate, piękne dary.

Niedługo potem możni dostojnicy opuścili naszą miejscinę, a zaraz po nich umknął i Józef z Maryją i Dzieciątkiem. Powiadają, że uciekł do Egiptu, bo bał się o życie dziecka. Nie wiem, ile w tym prawdy - mówiła kobieta - ale to pewne, że od czasu ich zniknięcia coś ciąży nad naszym miastem, jakby mu jakieś niebezpieczeństwo groziło. Podobno żołnierze rzymscy mają przybyć z Jeruzalem i nowe podatki z nas ściągać. Dlatego tak pusto w mieście, bo mężowie nasi poszli ze stadami w góry, żeby ich nie dać żołnierzom.

Tymczasem malec drzemiący na rękach matki rozbudził się na dobre. Obcy przybysz wzbudził w nim niebывałe zaciekawienie, bo maleństwo wyciągało obie rączki do złotego kręgu, który widniał na piersiach Artabana i tak czule się doń uśmiechało, że Magowi serce silniej w piersiach zabiło.

Zamyślił się Artaban: - Król i Pan powędrował do Egiptu? Lecz ja Go i tam odszukam. Tymczasem matka dziecięcia położyła maleństwo do kołyski i zaczęła się krzętać po izbie, ażeby ugościć obcego wędrowca...

Wtem zgiełk jakiś podniósł się na ulicy. Słysząc było krzyk i płacz kobiet, odgłosy trąb, szcęk oręża; ktoś zawołał: - Ratunku! Żołnierze Heroda mordują nasze dzieci! Słyszając to, młoda matka zbladła z przerażenia. Pochwyciła swego synka w ramiona i ukryła się z nim w najciemniejszym kątku izby. Artaban stanął w progu domu, gotów go bronić do ostatka. Jego ogromna postać wypełniła całe odzwia.

Uliczka zarojła się od żołnierzy... Na widok Maga zatrzymali się na chwilę i w twarzach dał się odczytać wyraz niepewności i obawy. Wtem z gromady wysunął się młody oficer, i zbliżywszy się do Artaban, chciał go ręką odsunąć na bok Artaban ani drgnął. Jego twarz była tak spokojna, jakby patrzył na gwiazdy i czytał w nich tajemnicze losy życia. Oczy na w pół przymknięte zdawały się patrzeć w jakąś niezmierną dal.

Przed takim spojrzeniem nawet drapieżny lampart się cofa, toteż młody oficer zawahał się i podniesiona przed chwilą ręka opadła mu bezwładnie. Teraz Artaban

zwrócił na niego swe spojrzenie i rzekł dobitnie: - Sam jestem w tym domu i pragnę w nim sam pozostać. Oto nagroda dla mądrego oficera, który zechce dom mój zostawić w spokoju... Mówiąc to, wyciągnął z za pasa rubin bajecznej piękności i położył go na rozwartej dłoni. Młody oficer oniemiał na widok tak wspaniałego klejnotu. Chciwie wyciągnął rękę po skarb i ukrywszy go głęboko w fałdach płaszcza, zawołał do żołnierzy: - Naprzód! W tym domu nie ma dziecka...

Na te słowa wyczekująca gromada żołnierzy rozproszyła się. Pobiegli dalej szukać nowych ofiar. Mag wszedł do izby i stanąwszy pod oknem zaczął się modlić: - Boże Prawdy - łkała jego zboląła dusza - wybacz, że kłamstwem skaziłem swe usta. Uczyniłem to dla dziecka, żeby ratować je od śmierci. Oto dwa dary, które przeznaczyłem dla Boga - szafir i rubin - oddałem ludziom. Teraz nie będę godny, aby spojrzeć w oblicze mego Króla. Tak modlił się Artaban, a stojąca w głębi izby rozradowana matka, tuląc do piersi swego jedynaka, szeptała: - Niech cię Bóg stokrotnie nagrodi, dobrodzieju ty nasz najlepszy, za to, żeś uratował życie mego synka. Niechaj Pan spojrzy na ciebie łaskawym okiem i niech zleje na ciebie wszystkie dary nieba. Pokój Jego niech będzie z tobą...

Nadaremnie Artaban szukał w Egipcie swego upragnionego Króla. Chociaż jednak nie znalazł w tej wędrówce Króla, przed którym mógłby paść na kolana, aby Go uczczyć i uwielbić, znajdował ludzi, dla których jego obecność była jedyną osłoda w ich cierpieniu. Pokrzepiał słabych, przyodziewał nagich, leczył chorych, pocieszał więźniów... I tak płynęły jego dni i lata... Jego życie wydawało mu się jednostajne i bezbarwne, tak jak gdy patrzymy na czółenko tkackie, które wciąż tę samą przebiega drogę, wlokąc za sobą nic to szarą, to błękitną, to szkarłatną. Dopiero gdy droga jego dobiegnie końca, gdy zdejmujemy z warsztatu tkaninę, wówczas dopiero widzimy całość wzoru pełną krasy.

Trzydzieści trzy lata upłynęło od chwili, gdy Artaban wyruszył na poszukiwanie Światła. Zesłabł już i postarzał się w tej ustawicznej pielgrzymce. Zmęczony był, słaby i stary, lecz mimo to nie ustawał w poszukiwaniach. Właśnie przybył do Jeruzalem, aby raz jeszcze przejść wszystkie jego zaułki. Był tu już tyle razy, znał każdą uliczkę, wszystkie najuboższe domy, lecz nigdy i nigdzie nie udało mu się napotkać śladu swego Pana. Mimo to w duszy coś szeptało mu, że tu Go odnajdzie...

Żydzi obchodzili święto Paschy... Na ulicach panował ruch, zgiełk, hałas... Od czasu do czasu jakiś dreszcz przebiegał zatłoczone ulice. Zgiełk podnosił się, to znów przygasał. Wszyscy gdzieś się spieszyli, popychali i wzajemnie wyprzedzali.

Artaban przyłączył się do tej fali, a znalazłszy gromadkę Żydów z Parthy, z jego rodzinnych stron, przybliżył się do nich i rozpoczął z nimi rozmowę. - Chodź z nami, Artabanie - rzekł jeden z Żydów idziemy teraz na Golgotę, gdzie odbędzie się ciekawa egzekucja. Cóż to, ty nie wiesz o tym? Wszak mają dziś stracić dwu złoczyńców i jakiegoś Człowieka, którego zwą Jezusem Nazareńskim. Podobno ten Jezus wielkie cuda czynił między ludźmi i lud Go kocha, ale kapłani i starszyzna zażądali Jego śmierci, bo mówi o sobie, że jest Synem Boga i Królem żydowskim. Piłat skazał Go na ukrzyżowanie. Artaban słuchał, a słowa te padały w jego duszę jak ożywcza rosa. Trzydzieści trzy lata wędrował, ażeby je nareszcie posłyszeć...

A więc to wszystko było prawdą? Król się narodził, lecz ludzie Go odepchnęli, wyszydili i teraz oto miał skonać na krzyżu. A jeśli to nie ten sam, który urodził się w Betlejem, którego przyjście głosiła Gwiazda, o którym mówili mędrcy i prorocy? Ta niepewność dręczyła Artabana. - Wszystko mi jedno - pomyślał - pójdę Go zobaczyć. Kto wie, może On jest naprawdę moim Panem, moim Królem, może zdołam Go jeszcze wyratować? Wszak mam jeszcze jeden klejnot, którym mogę Go z rąk katów wykupić.

Tak rozmyślając, podążył wraz z tłumem ku bramie miasta. Minęli ostatnie domy miejskich straży, gdy wtem oddział macedońskich żołnierzy zajechał im drogę. Żołnierze pędzili przed sobą młodą dziewczynę całą w łachmanach. Widać było, że znęcali się nad nią. Artaban spojrział na dziewczynę oczyma pełnymi litości i mimo woli przystanął. Widząc to dziewczyna, przypadła ku niemu, objęła jego nogi i szlochając wołała: - Ratuj mnie, panie! W imię Boga Czystości, któremu służysz, nie daj mnie zbezczęścić. Jestem córką partyjskiego kupca. Mój ojciec umarł i teraz za jego długi chcą mnie sprzedać jako niewolnicę. Ratuj mnie przed hańbą, która jest gorsza od śmierci! - Mówiąc to, całowała stopy Artabana i taka rozpacz była w jej oczach i głosie, że serce w Artabanie zamarło. Znalazł się znów na rozdrożu, jak wówczas w oazie i potem w Betlejem. Miłość nakazywała co innego, a co innego podszeptowała jego głęboka wiara i tęsknota jego życia. Już dwa razy oddał ludziom dar przeznaczony dla Boga. Oto przyszła nań trzecia próba - i ostatnia. Czyżby to była próba, czy kuszenie jego duszy? Jedno czuł, że jakkolwiek długo trwałaby walka, wynik będzie ten sam, bo jest nieunikniony.

- Boże mój, Boże! - wołał w głębi duszy. - Powiedz, czy Światłość najwyższa nie leży w miłości? I nie czekając już na nic wydobył perłę, swój ostatni klejnot, i złożył ją w rękę dziewczęcia. - Weź to córko, to twoja zapłata. Daję ci ostatni skarb, jaki chowałem dla mego Króla...

Jeszcze nie domówił tych słów do końca, kiedy nagle ciemność zaległa cały kraj. Ziemia zaczęła drzeć i w głębi jej łona dał się słyszeć głuchy pomruk, jakby dalekiego grzmotu. Na ulicach wszczął się popłoch i zamęt. Mury pękały, a obluźnione kamienie zaczęły się sypać przechodniom na głowy. Wiatr podnosił całe

chmury kurzu, który wżerał się w oczy, w usta i w gardła. Tłum rozpierzchnął się jak stado przerażonych owiec. Tylko Artaban został z uratowanym przez siebie dziewczęciem. Nie uciekał, bo i czego miał się obawiać? Przecież jego życie tak jakby się skończyło. Przed chwilą rozstał się z ostatnim darem, którym miał wykupić życie swego Króla. Sam zerwał ostatnią nitkę nadziei i oto teraz wędrówka się skończyła, chociaż Króla nie znalazł, celu nie osiągnął. Schodził z areny życia - pokonany.

A jednak mimo wszystko uczucie ciszy i spokoju ogarnęło jego duszę. Nie było to uczucie rezygnacji, poddania się. To było coś o wiele piękniejszego. W głębi duszy miał to głębokie przekonanie, że szedł właściwą drogą. Zapewne jego czyny były niedoskonałe, lecz wypływały z najświętszych, najczystszych pobudek jego duszy. Wierze swojej, swoim przekonaniom był wierny przez całe życie. Szukał Światła, szukał objawienia, a jeśli go nie znalazł, nie jego w tym wina. Czuł, że gdyby mu było dane przeżyć to życie jeszcze raz, od początku do końca, nic by w nim nie poprawił, nic by w nim nie zmienił.

Wtem ziemia zatrzęsała się raz jeszcze, poruszyły się domy, tu i ówdzie rozległ się trzask i łoskot walących się murów. Ze szczytu domu, pod którym stał Artaban spadł odłamek muru i uderzył go w głowę. Dziewczyna widząc, że starzec blednie i słania się na nogach, pochwyciła go w swe ramiona i położyła na ziemi. Potem pochyliła się nad nim, gdy nagle usłyszała głos, jakiś cichy, dźwięczny głos, który płynął jakby z przestworzy. Dziewczę podniosło głowę, żeby zobaczyć, kto mówi, lecz okna domu były zamknięte i na całej ulicy nie było nikogo.

Nagle wargi Artabana poruszyły się, jakby chciał coś mówić. Po chwili dziewczyna usłyszała te dziwne słowa: - Nie tak, Panie, nie tak... Czy ja Cię kiedy głodnego nakarmił, spragnionego napoił? Czy otworzyłem wrota swego domu przed Tobą, strudzonym wędrowcem? Czy Ciebie nagiego przyodziałem, chorego nawiedziłem? Trzydzieści trzy lata Cię szukałem, lecz oblicza Twego nigdy nie widziałem i nigdy Ci w niczym nie usłużyłem... Artaban umilkł i znów dał się słyszeć ten sam głos co poprzednio, lecz tym razem wyraźniej, tak że dziewczyna mogła zrozumieć słowa: - Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, cokolwiek uczyniłeś jednemu z najmniejszych tych braci, Mnie uczyniłeś.

Na te słowa twarz Artabana zajaśniała dziwną jasnością, a z jego ust wydobyło się westchnienie, ostatnie westchnienie radości i ulgi. Jego wędrówka skończyła się, dary zostały przyjęte. Czwarty Mędrzec Wschodu znalazł swojego Króla.

Henry van Dyke